



Miesięcznik szkolny

19.12.2008

bezpłatne wydanie świąteczne

W numerze:

Poczuj magię świąt!	3
Pierwsze noty za płoty – próbna matura	4
(Nie) szata zdobi maturzystę na studniówce	5
Z pamiętnika Maturzystki	7
Co Ty wiesz o wrywaniu? cz. I	9
Przyjaźń płci?	9
O tym i o tamtym, czyli dlaczego ludzie piszą.	11
NIE TOLEROWAĆ NIETOLERANCJI.	12
Sto lat samotności	14
Więzień potrafi ! Czyli spektakl teatru „Pod celą”	15
Co kryją podziemia Starówki? – Teatr Stary	15
Maturzysto, czytaj!	16

Lipa nie śpi!

Choć wydawałoby się, że Lipa przeżywa okres wegetacji, w tym roku bynajmniej nie przez ospałość Redakcji czy bunt ksera pojawia się dopiero w grudniu. Już od połowy września pochłonięci pracą nad jubileuszowym biuletynem, aż do początków listopada myślami byliśmy raczej przy kolorowym wydaniu z okazji 60-lecia szkoły niż przy Lipie w szacie takiej jak ta – bardziej codziennej i mniej zobowiązującej.

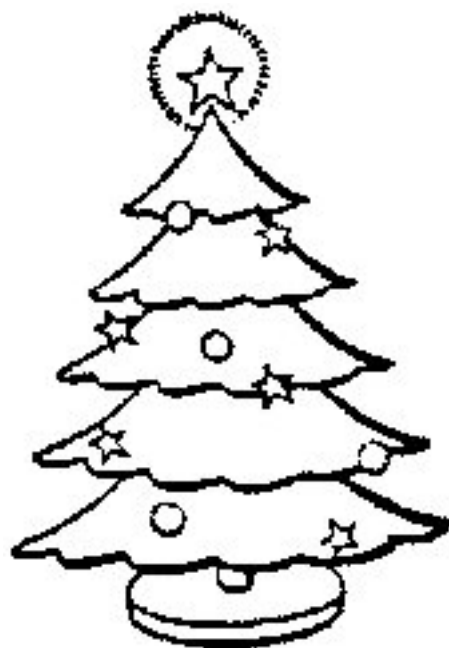
Sunąca ku większości zgRedakcji i urzeczywistniająca się coraz bardziej wizja egzaminu dojrzałości każe mi zaapelować już teraz do młodszych roczników. Potrzeba „świeżej krwi” jest wyjątkowa. Jeśli zatem czujesz, że masz coś do powiedzenia, lubisz pisać – pisz: pani_enka@onet.eu. Czekamy. :)

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko życzyć wszystkim naszym Czytelnikom pachnących, niezabieganych Świąt oraz zgrabnego skoku w nowy rok (jak zawsze, daj Boże, jeszcze lepszego).

Oczywista, zachęcam do dalszej lektury – a proszę mi wierzyć, jest o czym poczytać.

Pozdrawiam dziarsko –

En.





**DYREKTOR I RADA PEDAGOGICZNA
V LO IM. MARII SKŁODOWSKIEJ – CURIE
z okazji
zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia
życzą WSZYSTKIM PRZYJACIOŁOM
I SYMPATYKOM SZKOŁY
wspaniałych chwil pełnych miłości i ciepła.
Niech te Świąta będą czasem refleksji, spotkań
z Rodziną i Przyjaciółmi, a Nowy Rok
przyniesie spełnienie marzeń i planów.**



■ Poczuj magię świąt!



Jest to obecnie najpopularniejsze hasło pojawiające się w listopadzie. Ledwie wyrwiemy się z zadumy po Wszystkich Świętych, gdy zaczynają otaczać nas bożonarodzeniowe dekoracje. Praktycznie od początku listopada w sklepach i centrach handlowych pojawiają się bombki, choinki oraz mikołaje-przebierańcy, zachęcający nas do zakupu niewątpliwie niezbędnego produktu. Owym koniecznym do życia towarem może być kawa, czekolada, lodówka, a nawet abonament w sieci komórkowej. Zapał krasnal, z jakim chce nas przekonać do oferowanej rzeczy, można porównać z gorliwością prawdziwego świętego, na tym jednak podobieństwa się kończą.

Jeżeli jakiś sklep zaniedbał sprawę i nie przystroił się na początku miesiąca, zaległości stara się nadrobić najpóźniej przed pierwszym grudniem. Podczas spaceru między wystrojonymi półkami, oferującymi typowo „świąteczny” asortyment (tj. lalki, misie, lam-

pki i bombki) możemy słuchać kolęd, najczęściej w angielskiej wersji językowej. Utwory te mają zapewne na celu wprowadzenie odpowiedniej atmosfery wśród klienteli. I o ile granie kolęd na hali sklepowej nie jest raczej czymś odbiegającym od normy, o tyle fakt, iż to samo nagłośnienie często zainstalowane jest również w przebieralniach i toaletach, normalne raczej nie jest. „White Christmas” w tym miejscu pasuje jedynie do koloru podłogi.

Towarami oferowanymi w bożonarodzeniowej części sklepów w dużej mierze są zabawki oraz inne akcesoria, bez których święta niewątpliwie by się w ogóle nie odbyły. Od paru lat można nawet nabyć opłatek. To nic, że niepoświęcony...

Dzięki reklamom telewizyjnym wiemy, że najbardziej potrzebne są nam prezenty dla dzieci. W spotach możemy ujrzeć najnowsze wytwory zabawkowej mody, których cena jest proporcjonalna do prestiżu ich posiadania. Gdy

oglądałem jedną z reklam, dotarło do mnie, że moje dziecko będzie strasznie nieszczęśliwe jeżeli nie dostanie wymarzonej, gadającej lalki. Siła reklamy robi swoje, bo dopiero później przypomniałem sobie, że dzieci jeszcze nie mam, a nawet gdybym miał, to i tak koszt tego gadżetu byłby dla mnie za wysoki. Tu jednak z pomocą przychodzą banki, które namawiają do wzięcia świątecznej pożyczki na „niezwykle dogodnych warunkach”. Owe niezwykle warunki zazwyczaj polegają na tym, że musimy zwracać prawie dwa razy tyle co pożyczaliśmy. Ale to nieistotne, bo jeżeli przyjeżdża rodzina lub znajomi, to trzeba ich oczywiście odpowiednio ugościć. Zastaw się, a postaw się.

Czy na tym polega obchodzenie świąt? Nie są chyba istotne przygotowania, chociaż w polskiej tradycji świętowanie często połączone jest z jedzeniem. A jeżeli potraw ma być rzeczywiście dwanaście, to na pewno potrzebne są do nich jakieś produkty, które oczywiście musimy kupić. Sensem Bożego Narodzenia są narodziny Jezusa Chrystusa, z których powinniśmy się cieszyć, wyrażając to właśnie przez świętowanie. Niestety, od kilku lat następuje coraz większa komercjalizacja tej uroczystości. Owszem, fajnie jest dostać prezent, jednak niech nie będzie on „gwóździem programu” świątecznego, bowiem ten zwyczaj pochodzi zaledwie z XIX wieku i, porównując go do wigilijnej wieszczy, jest bardzo młody. Zadbajmy zatem o jak najlepsze przygotowanie duchowe do Bożego Narodzenia i prawdziwie rodzinną, ciepłą atmosferę.

mic

Pierwsze noty za płoty – próbna matura

Przez trzy dni - 26-28 listopada - maturzyści poculi przedsmak tego, co czeka ich w maju. Białe ubrania, nerwowa atmosfera oraz tysiące pytań i brak odpowiedzi towarzyszyły trzecio-klasistom.

Pierwszy dzień upłynął pod znakiem języka polskiego. Zaczęto pisać o godzinie 8:00 – poziom podstawowy 170 minut, a o 10 minut więcej - rozszerzony. Maturzyści byli zaskoczeni tym, co znaleźli w tegorocznych arkuszach. Osoby piszące poziom podstawowy musiały zmierzyć się z tekstem „O kłamstwie” Leszka Kołakowskiego oraz napisać charakterystykę Izabeli Łęckiej lub Makbeta. Większość z nich jednak zdecydowała się na opisanie bohaterki „Lalki” Bolesława Prusa. Nie zaskakiwał sam temat, ale to, że powieść Prusa królowała na trzeciej już maturze. Na poziomie rozszerzonym na uczniów czekał Umberto Eco oraz Zbigniew Herbert z wierszem „Potęga smaku”. Również tutaj znalazła się charakterystyka porównawcza bohaterów: „Szewców” Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz „Faraona”, oczywiście Bolesława Prusa. Tematy wypracowań maturalnych uspokoiły maturzystów – formę charakterystyki ćwiczyli już w gimnazjum. Analizę wiersza wybierali nieliczni, a najtrudniejszym zadaniem okazał się test czytania ze zrozumieniem. Jednak dzień pierwszy był tylko zapowiedzią tego co czekało ich w następnych dniach.

Kolejny etap to obowiązkowe języki obce: angielski, niemiecki, hiszpański oraz francuski. Dla największej grupy matura z języka to sprawdzian znajomości

angielskiego. Pomimo wielu możliwości, najczęściej deklarowanym przedmiotem jest właśnie język Wielkiej Brytanii. Maturzyści musieli wykazać się rozumieniem ze słuchu, znajomością gramatyki oraz pisanie notatki (poziom podstawowy), rozprawki, opowiadania lub opisu (poziom rozszerzony). Na języku niemieckim trzeba było wykazać się tymi samymi zdolnościami oraz umiejętnościami pisania pocztówki, rozprawki, opowiadania lub opisu.

Ostatni dzień upłynął pod znakiem przedmiotów do wyboru: historii, WOS-u, biologii, chemii, geografii, matematyki, fizyki i astronomii. Bez względu na wybór poziomu z wiedzy o społeczeństwie arkusze poruszały te same tematy, m.in. prawa człowieka oraz terroryzm. Uczniowie musieli zmierzyć się z fragmentami np. Konstytucji RP oraz Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka z 10 grudnia 1948 roku. Wiele problemów mogła sprawić historia – teksty źródłowe, odczytywanie map oraz interpretacja drzewa genealogicznego, a na koniec wypracowanie na jeden z dwóch podanych w arkuszu tematów: 1. „Sposoby, jakimi Polacy w XIX w. próbowali odzyskać niepodległość” oraz 2. „Proces budzenia się świadomości narodowej społeczeństw XIX-wiecznej Europy”. O „ściślejszych” umysłach ciężko jest zresztą powiedzieć coś konkretnego: matura z matematyki dla jednych okazała się nie do przejścia, dla drugich - na tyle prosta, by dobić nawet do budzących zadowolenie i respekt 80%. Z opowiadań maturzystów,



kilku wzięli się za bary z biologią (w całej szkole podstawę zdawało zaledwie kilka osób, zdecydowanie większą część stanowili „rozszerzeni”) wynika, że – jak to nieraz bywa – klucz odpowiedzi okazał się wyjątkowo boleśnie mijający się z wiedzą uczniów. W zamian za to po maturze z geografii słyszało się same pozytywne opinie. Fizyka zaś, w odczuciu piszących, wypadła dość przeciętnie.

I tak minęły trzy długie i pełne stresu dni. Wyniki okazały się całkiem niezłe, chociaż mogą nie zadowalać tegorocznych maturzystów. Większość uzyskała ponad 45% z wybranych przez siebie przedmiotów.

Redakcji „LIPY” pozostaje tylko z okazji zbliżających się Świąt życzyć maturzystom jeszcze lepszych wyników na majowej maturze. :)

Lizka

(Nie) szata zdobi maturzystę na studniówce czyli jak się ubrać?

Czasy, w których dziewczęta zakładały na studniówkę białą koszulową bluzkę i czarną spódnicę, minęły chyba bezpowrotnie. Dziś dekolty, krótkie sukienki czy krzykliwe kolory stają się normą. Wiele sklepów oferuje suknie wieczorowe, czy łatwo zatem znaleźć odpowiedni strój dla siebie? Oto osiem najpopularniejszych dylematów, z jakimi trzeba zmierzyć się przed studniówką.

Dylemat 1: kupić czy szyc?

Niby wybór w sklepach jest duży, ale często bywa tak, że trudno znaleźć suknię, której zarówno fason, materiał, kolor jak i cena nam odpowiadają. Dziewczyny, którym się to nie udało, decydują się na szycie u krawcowej. Postępują tak także te, które posiadają zmysł plastyczny i same chcą zaprojektować sukienkę. Szycie nie jest jednak rozwiązaniem bez wad. Po pierwsze nie wiadomo, czy efekt końcowy będzie nas satysfakcjonował, czy nie. Po drugie – koszty. Uszycie prostej sukienki kosztuje około 200 – 300 zł, szycie z projektu skomplikowanego fasonu nawet 500 zł, oczywiście ceny te zazwyczaj nie zawierają kosztu materiału – w sumie 700 złotych bez dodatków. Drogo?

Dylemat 2: cena

W zależności od materiału, fasonu, a przede wszystkim marki, cena sukienki waha się od ok. 150

zł do... Przyjmijmy, że do 500 zł, choć naprawdę nietrudno znaleźć droższe. Ale strój na studniówkę to przecież nie tylko suknia. Buty to wydatek rzędu 100 – 300 zł. Do tego niezbędne są drobiazgi, takie jak torebka (najczęściej koperta), pończochy czy zgodnie ze zwyczajem – czerwona bielizna. Na te drobiazgi też należy przeznaczyć pewną sumkę, według moich szacunków około 150 zł, ale zazwyczaj dziewczyny i tak posiadają wymienione wcześniej przedmioty, więc jeden wydatek z głowy. No dobra, mamy już kieckę, ciut za wysokie obcasy, czerwone podwiązki, czas na fryzjera. Na wieczorową fryzurę, na

przykład kok lub fantazyjne upięcie należy zarezerwować sobie od 60 do 150 zł i – przy długich włosach – 2 lub 3 godziny cennego czasu. Przy krótkich włosach trwa to znacznie krócej i mniej kosztuje, samo modelowanie wyniesie ok. 30 zł (w firmowych salonach zapewne więcej). Oczywiście studniówka sama w sobie to też spory wydatek. Uff...

Dylemat 3: jestem niewymiarowa!

Bywa i tak, że mierzy się dziesiątki sukienek, a żadna nie leży idealnie. Lub: chcemy ukryć pewne niedoskonałości figury, a tymczasem sklepowe stroje tylko



■ Z pamiętnika Maturzystki...

Koniec lekcji o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie, próbna matura i dochodzące zewsząd rozmowy o studniówkowych kreacjach boleśnie uświadamiają mi, że już za kilka miesięcy, chcąc nie chcąc, będę musiała opuścić mury „starej, dobrej Piątki”. Jako, że sprzyja to popadaniu w sentymentalizm, postanowiłam na łamach „Lipy” podzielić się z Wami kilkoma przemyśleniami związanymi z nieuchronnie zbliżającym się końcem okresu, w którym mogę nosić dumne miano „ucznia”.

Parafrazując wypowiedź absolwenta naszej szkoły: pierwsza klasa to okres niepewnego rozglądania się dookoła i szukania sobie miejsca w Piątce, druga to czas szaleństwa i swoistego „licealnego buntu”, a trzeci rok... no właśnie. Według naszego absolwenta to okres beztróskiego kończenia lekcji w południe, czego wynikiem jest „tyle czasu, że aż się nie chce uczyć do matury”. Dla mnie trzecia klasa jest męcząca. Jednak nie ze względu na

nawał nauki, jaki niesie za sobą matura w maju, ale ze względu na nadmiar energii i pomysłów. O ile pierwszą klasę przespałam zamiast dać się wciągnąć w pozalekcyjne życie naszej szkoły, o tyle teraz czuję, że wsiąklam w nie zupełnie i bez pamięci. Nad moją głową nieustannie błyszczą żaróweczki pomysłów i jak nigdy – mam mnóstwo energii na ich realizację. Jednak nie mogę się im poddać – ową energię jestem zmuszona tłumić lub wkładać w kilkogodzinne ślęczenie nad książkami. Licealne życie jak na złość dało mi się odkryć ze swej najlepszej strony dopiero teraz, gdy nie mogę mu się poddać, a już niedługo zmuszona będę zostawić je na zawsze.

Oczywiście sytuacja ma swoje dobre strony: „dorosłość” (przynajmniej z nazwy), studniówka i pewne przywileje, jakimi szkoła obdarza maturzystę. Zaledwie kilka przedmiotów i spora ilość czasu „wolnego”, pewien stopień poufałości z nauczycielami i... co trochę śmieszy maturzystę –

dumny wzrok pierwszaka, który mówi mi „cześć” na korytarzu. ;) Ale czy wszystkie zalety tego okresu nie sprawiają tylko, że nie chce się tego zostawiać? Aż ciśnie się na usta zdanie: „Jak zaczęło być naprawdę fajnie, to trzeba to opuścić!”.

Gdyby nie świadomość, że należę do ostatniego rocznika, którego nie obowiązuje matura z królowej nauk, zapewne zdecydowałabym się – dla osiągnięcia zakończenia „z przymrużeniem oka” – na apel do Profesorów, by zrobili wszystko bym mogła zostać w szkole chociaż jeszcze rok, ale... wolę nie ryzykować. ;)

Życzę Wam – zwłaszcza pierwszoklasistom – żebyście nigdy nie mieli poczucia straconego czasu. Wykorzystajcie to, co proponuje Wam Piątka jak najlepiej potraficie – żeby za kilka lat na pytanie „jak było w liceum?” przy odpowiedzi kręciła się Wam łezka w oku. :)

Marysia Męczywór

■ Z pamiętnika dwukierunkowca

Dzień 1

Dwukierunkowcem być. Wyzwanie. Podejmuję to ryzyko. A jakże!

Biegnę rano na uczelnię, żeby dochodząc już do celu – pokoju na trzecim piętrze humanistyki – dostać zadyszki. Z zadyszką uprzejmie przepaszam za spóźnienie. I nagle się łapię, że przecież to już nie liceum i mam 15 minut dozwolone (kochany kwadrans akademicki) - wchodzę i... postanawiam ambitnie zapamię-

tać, żeby następnym razem nie przepaszam, tylko potulnie usiąść na krzeselku. U jednego rada przydatna, u innego samobójstwo.

Jak już poszłam na politologię - dzięki ci za punktualne MPK! - to okazało się, że zmiana grupy ćwiczeniowej jest przestępstwem o wiele cięższym. Musiałam nisko chylić czoło i przepaszam za tę zbrodniczą zmianę (wolałabym się rozdzielić). Ale tak za ambicję i chęć nauki się płaci. Pan już miły nie był. Stawiam na kompleksy z

dzieciństwa, choć korytarzowe plotki głoszą, że to raczej niezbyt udana dorosłość. Bo przecież jak ja mogę chcieć zmienić grupę? No naprawdę nie doceniłam daru że do szanownego pana dr mogę chodzić na godzinę 8, przecież to byłby taki dobry początek dnia...

Dzień 2

Ciężki to ma być dzień... Zaklinam go. Szafeczka wyczarowuje mi skądś resztki ulubionej kawy. Parzę z namaszczeniem.



Wypijam. Nawet mam minutę rezerwy, więc marnuje ją na przyśtanku.

Cudowny wynalazek - wykłady. I wyspać się można, i odrobić angielski, albo przepisać notatki. Wspaniale. Nawet doktorak zachęcał nas do rezygnacji - "jest tyle ciekawszych rzeczy" - ale to kokieteria, akurat on mówi śmieśnie, rzeczowo i interesująco. Gorzej było z następnym. Chyba facet (nie wiem kto mu dał profesora) wiedział, że najsilniejszym punktem jego wywodów jest lista obecności. Cóż, jakoś przyciągnąć trzeba. Tylko ja się pytam czy on w ogóle wie do kogo mówi i gdzie jest? Sprawiał wrażenie zagubionego nie tylko w świecie, ale i w czasoprzestrzeni. To nic, że był wtorek, ale zapytał nas czy jesteśmy z zaocznych. Nie byliśmy, a mimo to musieliśmy zostać.

Co więcej, moje włosy przechodzą ostatnio intensywny... peeling. Te wszystkie tubki i tubeczki wyglądają tak samo, zwłaszcza o 2 nad ranem.

Dzień 3

Znowu biegnę. Znowu zaspana. Niedługo może uda mi się pobić rekord Guinnessa w wytrzymałości bez snu. Ciekawe ile ktoś wytrzymał? Póki co śpię 7/48. Nie jest jeszcze tak źle. Lepiej niż jak śpię przepisowe siedem godzin. Polecam. Tylko kawa mi się koń-

czy. Więc muszę pamiętać, żeby gdzieś kupić. Swoją drogą to jest zastanawiające, że studiuje we własnym mieście, w domu rodzinnym i cierpię na brak funduszy - jakbym co najmniej studiowała na Marsie. Tłumaczę sobie i rodzicom z resztą też, że to wina kserówek, bo raptem dwa miesiące minęły, a ja mogłabym już nimi wytapetować jeden wydział.

Dzień 4

Od ósmej do ósmej. To ludzie w pracy nawet mają lepiej! Powinny być jakieś ograniczenia. Prawo łaski, odroczenie egzekucji. To jest nienormalne! I to, że zasnąłam oparta o długopis na geografii też jest nienormalne. Tylko niech mi ktoś powie, co ja tam nabazgrałam. Przecież niedługo ci wyrażnie-piśmienni mnie wyklną, że ciągle chcę notatki.

I jeszcze ten niezapowiedziany kolos. No i dlaczego? No co, aż tak facetowi się nudzi? Niechby przeczytał jakąś książkę, a nie robi i ocenia. My się denerwujemy, a ten marnuje czas na sprawdzanie. To znaczy nie ma właściwie czego sprawdzać. Przynajmniej jeśli chodzi o moją kartkę.

Wracając do domu jadę z przesiadkami. Przystanek do przystaneczku i będę w ciepłej kuchni, gdzie pewnie - mimo telepatycznych wezwań - stoi pusta lodówka. Jak już wsiadałam do dziesiątego autobusu dostaję od wysiadającego bilet. Od razu mi się lepiej zrobiło! Pasażerze! Oddaj bilet! Tylko, że ja mam przejazdówkę. Ale bilet wzięłam, żeby nie zniechęcać.

Dzień 5

O złośliwości losu! Kończyłam drugą klasę liceum z przekonaniem "Nigdy więcej geografii". Trzecia klasa była z okrzykiem: "Koniec z matematyką!". A teraz co? A teraz siedzę na geografii

politycznej, demografii, ekonomii i statystyce. I masz człowiecze za swoje! Mam nadzieję, że żadnej chemii mi nie dadzą. To byłby już szczyt. Choć kolega z klasy, obecnie student jakże szacownego Uniwersytetu Przyrodniczego, ma zajęcia i z zoologii, i z chemii, i z czego tam jeszcze nie usłyszałam, bo wyrażałam swe głębokie współczucie tarzając się ze śmiechu po podłodze. Nie to żebym była nieczuła.

Dzień 6

Och, piękna sobota. Pieśni na twą cześć trzeba zacząć pisać. Nareszcie się wysypiam. Całe piękne siedem godzin w łóżeczku, śniąc i wypoczywając. I to nic, że rodziciel przyszedł mnie obudzić tekstem, że prześpię całe życie. Z przyjemnością bym to zrobiła.

Korzystając z dobrego humoru chcę zrobić porządek w notatkach. I pierwszy problem: w notatkach z historii współczesnej polski mam dziury wielkości ozonowej, bo nie nadążałam z notowaniem. Żeby się nie denerwować - odkładałam. Po co psuć sobie taki piękny dzień. Biorę więc w swoje łapska coś z kulturoznawstwa, tak dla równowagi. I dla równowagi tu też rozczerowanie, bo jak już wychodziłam wcześniej, żeby zdążyć na politologię, nie zanotowałam ostatnich słów i literatury. Wiem za to, że w skrypcie z historii najnowszej powszechnej mam literaturę na najbliższe ćwiczenia. Więc sięgam. Włączam stronę Biblioteki Wojewódzkiej i UMCS w nadziei, że coś szybko znajdę. Pudło, tzn. strzał w 2, a przecież jest tak daleko od 10! Na osiem książek znalazłam dwie - w tym tylko jedną do wypożyczenia. Super. Ze zdenerwowania wychodzę z domu, co by dalej się nie rozczarować.

Anastazja E.T.

Co Ty wiesz o wrywaniu? cz. I

- Witam wszystkich słuchaczy w najnowszym odcinku pięknego tasiemcowego serialu o nazwie „sprośni podglądacze”. Dzisiaj zapuściłem się w dziki rewir jakim jest liceum, by zbadać w jak powstają związki, rodzą się miłości oraz zwiększa się populacja. Zapewne wielu z Was zauważy liczne nawiązania do ostatniego odcinka, gdzie obserwowaliśmy życie więzienne. Tutaj jest podobnie – „to czego chcesz – jest nieosiągalne, to czego nie chcesz... samo Cię znajduje”. Dotyczy to także sfer najbardziej intymnych. Ale może przejdę od razu do materiału, który chciałbym zaprezentować. Udało mi się podejść niepostrzeżenie do wielu najprzeróżniejszych grup młodzieżowych – to co usłyszałem może Was przerazić, ale proszę mi wierzyć – taka jest prawda. Panowie, Panie zapraszamy na słuchanie...

Drogie Panie - uważajcie, bo przed samym wejściem do szkoły już możecie zostać złapane – pupłapki skuteczniejsze niż wilcze doły czy wnyki - przez te cuda techniki możecie przysłowiowo „wpaść”. Mowa oczywiście o wielkich, lśniących wehikułach przyjemności zwanymi potocznie „furami”. Nieważne czy to rozklekotana bejca, czy golfik z 4-tej ręki - „bryka” lub samo-

chód, jak to mówią sztywniacy, musi być! Nie wiadomo do końca czemu tylko osobniki płci męskiej stosują tę metodę, lecz trzeba przyznać, iż jest ona dosyć skuteczna - przedstawicielka płci żeńskiej musi się wykazać nie małym sprytem, by nie znaleźć się w czymś pojeździe, którego wnętrze mają powiększyć basy z głośników.

Postanowiłem wkroczyć do budynku, by zobaczyć czego jeszcze mogę się dowiedzieć na temat „wrywania”. Mój węch jest nieomylny, a to wyczułem przy samym wejściu do szkoły. Zapach krwi... oznacza tylko jedno – w pobliżu są dzieci Gillete’a - osoby wprawiające wszystkich golących się ludzi w obłęd, wykupując cały zapas ostrzy, żyletek i golarek. Ludzie kochający starogrecką medycynę (coś Ci jest – upuść sobie krwi). Najnowsze badania dowiodły, że ta grupa zatraciła pierwotny odruch chęci prokreacji, więc opuściłem ich rewir, by skupić się na moim wielkim i chwalebnyim zadaniu – odkryć jak dzisiejsza młodzież zwraca na siebie uwagę płci przeciwnej.

Przechadzając się swobodnie usłyszałem cichy szloch, pomyślałem sobie, że to pewnie ktoś z grupy wielbicieli Hipokratesa (czytaj wyżej). Jednak mym

oczom ukazała się grupka nastolatków otaczających szlochającego chłopaka. Podkradłem się na tyle blisko by móc przysłuchać się o czym rozmawiają.

- Marto, sądzę, że wielu mężczyzn się już o to pytało, ale czy bardzo Cię bolało jak spadałaś z nieba... aniele?

- Och Karolu jesteś taki czuły, powiedz mi coś jeszcze artystycznego!

- Twoje dłonie są takie piękne, żyły wtopione w alabaster...

... Cieszę się, że nic nie jadłem na śniadanie...

Początkowo myślałem, że jest to podryw „na litość”, jednak dostrzegłem tu raczej desperacko zastosowany „motyw przypadkowych słów powiedzianych w natchniony sposób”. Sama nazwa wszystko wyjaśnia, dziewczyny wiedzą, że te wszystkie „artystyczne sentencje” pochodzą z hasła „kicz” na Wikipedii, tudzież z lektury Bravo, ale wolą wierzyć, że ten chłopiec ma duszę artysty. Smutne to i piękne zarazem, takie życie w „złotej ułudzie”... Jednak eksperymenty potwierdzają skuteczność metody.

A teraz przerwa na reklamę

**Borewicz, Porucznik
Borewicz**

PRZYJAŹŃ PŁCI?

NAJTRUDNIEJ JEST ZACZAĆ

„O, naczelna, napisz coś o związkach, to jest przecież genialny temat!” – usłyszałam pewnego razu od ożywionej CenSorki. Z charakterystycznym dla siebie, upierdliwym sceptycyzmem pomyślałam krótko: co to, to nie, to nie moja działka. Wzbraniając się wszystkimi czterema kończy-

mi, udało mi się na tyle znacząco odwlec to w czasie, by o misji zapomnieć. Podczas jednej z ostatnich rozmów z CenSorką temat jednak powrócił i w ciągu następnych kilku dni nie pozwolił się już więcej zlekceważyć.

PODEJRZLIWOŚĆ ANKIETERKI

Zaczęłam od miejsca wyjątkowo

mi bliskiego, czyli naszego nieoficjalnego Forum szkoły [przyp. red.: www.5lo.4.pl]. Tak jak się spodziewałam, nie musiałam czekać długo na odpowiedź. Wynik ankiety jednak („Czy istnieje przyjaźń damsko-męska?”) naprawdę mnie zaskoczył, bowiem miażdżąca wręcz część głosujących jednoznacznie opowiedziała się za istnieniem takiej



przyjaźni (zaledwie 3 na 27 osób na zadane pytanie odpowiedziały „nie”). Oczekiwałam raczej zażartych dyskusji i wyrównanych, opozycyjnych sił niż zgodnych postów o wieloletnich przyjaźniach. Czym jest zatem, według Piątkowiczów, przyjaźń między kobietą a mężczyzną, dziewczyną a chłopakiem? „Jest rzadkością, dlatego uważam ją za szczególnie wartościową więź”, „To jedno z najładniejszych istnień, jak dodatkowa para oczu, zapasowa porcja endorfin, ciepła herbata z rana” – to tylko niektóre z najróżniejszych wypowiedzi jednomyślnie podkreślających nieocenioną wartość przyjaźni osób o dwóch i, bądź co bądź, wyjątkowo odmiennych sposobach postrzegania świata. Z samym zdefiniowaniem przyjaźni Forumowicze także nie mieli większego problemu; pierwsza z definicji, która zresztą spotkała się z milczącą aprobatą pozostałych to „prawdziwe, szczere i pełne bliskości dzielenie się z kimś swoim życiem”. Słowa te, przyznać trzeba, o tyle celne, co bardzo mocne, zwróciły moją uwagę na to, jak wysoko przyjaźń jest przez nas ceniona, zdania „przyjaciół jest tylko jeden” powtarzały się bardzo często. Wszystko wydawałoby się więc jasne i poukładane, mnie jednak wciąż coś gryzło. W końcu przypominałam sobie

przeczytane gdzieś słowa Stefanii Grodzieńskiej, sędziwej już, polskiej pisarki i aktorki, która w wyjątkowy sposób powiedziała kiedyś: „Jestem w takim wieku, w którym płęć przyjaciół nie ma żadnego znaczenia.” Zrozumiałam wtedy, że to te słowa mnie gryzą.

„COŚ WIĘCEJ”?

Ci, którzy negują istnienie przyjaźni damsko-męskiej, wysuwają zwykle jeden, konkretny argument: przyjaźń prędzej czy później przeradza się – bądź tylko pragnie się przerodzić – w tzw. „coś więcej”, swoją drogą pojęcie o tyle irytujące, bo zupełnie nieskonkretyzowane i notorycznie wręcz nadużywane przez ludzi (najczęściej jednak oznaczające zakochanie lub miłość). Innymi słowy: biologia jest silniejsza od człowieka, pociąg seksualny (tu: chemia) po prostu uniemożliwia dalsze trwanie takiego związku. I wydawałoby się to całkiem logiczne: znając przez dłuższy czas człowieka, który nie dość, że ma z nami wiele wspólnego i rozumie nas jak mało kto, to jeszcze jest przeciwnej płci – nietrudno zapalać chęć do bycia z kimś takim w pełniejszym, jeszcze bliższym wymiarze. Smaku dodawać może fakt, że jest to swoisty „zakazany owoc” – przecież to, co jest dla nas poniekąd nietykalne, wydaje się smakować najlepiej, a trawa jest zieleńsza po drugiej stronie. Bardzo spodobało mi się zdanie Katriny umieszczone na Forum: „Jeśli przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest niemożliwa, to tylko przez ich własne słabości”. To wyjątkowo cięta riposta skierowana do tych, którzy deklarują, że przyjaźni damsko-męskiej nie ma. No właśnie: czy można powiedzieć, że takiej przyjaźni nie ma w ogóle? Czy ktoś, kto nie wierzy w taki związek między kobietą a mężczyzną, bo w prze-

szłości zakochał się bez wzajemności w swoim przyjacielu – bądź przyjaciel w nim – może podważać istnienie takiej przyjaźni w ogóle? Ba, czy mogą to podważać rzekome doświadczenia jego równie uprzedzonych znajomych, którzy przecież także nie mogą odpowiadać za każdy, indywidualny przypadek? To trochę tak, jak gdyby mężczyzna po rozstaniu z ukochaną deklarował, że miłości nie ma i nigdy nie było, bo przecież oni właśnie się rozstali. Tymczasem problem tkwi tylko w nich samych. Czyżby warunkiem przyjaźni dwojga płci nie byłoby zatem dojrzałe poczucie, że taka relacja w zupełności (!) wystarcza obojgu i zmienianie tego stanu (broń Boże gwałtowne!) wcale nie musiałoby przynieść zmian na lepsze? Z pewnością taki krok wymaga po stokroć przemyślenia sprawy indywidualnie, choć trochę dojrzałe i choćby częściowo – obiektywnie.

PRZYJACIÓŁKA MOJEGO CHŁOPAKA

Pogodzenie posiadania chłopaka i przyjaciela (analogicznie: dziewczyny i przyjaciółki) to sztuka, która wymaga wielu poświęceń i dojrzałości od wszystkich trzech stron. Nie każdy zresztą podejmuje takie ryzyko (bo bez wątpienia można to ryzykiem nazwać); nie mogąc liczyć na zaufanie partnera czy wyrozumiałość przyjaciela nawet najbardziej roztropny i dojrzały człowiek nie jest w stanie rozwiązać takiego układu bez „ofiar” w związkach – bądź co bądź przyjaciółka chłopaka nie jest dla jego dziewczyny grupą kumpli, którzy spotykają się z nim na piwie, zaś przyjaciel dziewczyny bynajmniej nie przypomina jej chłopakowi rozchichotanego i niezobowiązującego towarzystwa na pogaduszkach. Zazdrość to wyraz nie tylko miłości, ale i

braku pewności – najczęściej samego siebie, a na to jedynym lekiem jest tylko troska partnera i umiejętność okazywania uczuć. Być może wybuchy zazdrości ostudzi też świadomość tego, że ograniczanie ukochanej osoby w jakikolwiek sposób (także w kwestii utrzymywania kontaktu z przyjacielem) jest tylko wyrazem swojego egoizmu – bo i jak inaczej nazwać chęć ograniczenia kontaktu partnera z innymi, bliskimi mu osobami? Oczywiście nie zawsze jest tak, że zazdrość nie ma podstaw i partner odczuwać może niedosyt w odczuwaniu wspominanej troski ze strony partnera o tyle boleśnie, bo dzieląc ją z jego przyjacielem. Cóż, wyobrażając sobie sytuację, w której mężczyzna przychodzi wcześniej z pracy i zastaje żonę z jej przyjacielem w łóżku, raczej ciężko jest myśleć, że biedny „rogacz” powie: „Kochanie, nie mogę zabronić Ci być szczęśliwą, więc nie przeszkadzajcie sobie,

proszę.”

DAĆ CZASOWI CZAS.

Galimatias związany z podejmowaniem przyjaźni i miłości wynikać może z tego, jak niezauważalna jest między nimi granica. Poza tym, czy nie jest tak, że głęboka (!) przyjaźń opiera się na miłości, a głęboka (!) miłość – na przyjaźni obojga partnerów? Wydaje się być czymś nieprawdopodobnym jak decydujące znaczenie – zwłaszcza w naszym wieku? – ma obecność namiętności w relacjach damsko-męskich i po ciągu fizycznego w ogóle. Osiągnięcie bardzo cenię sobie znajomości z chłopakami; nie mam wątpliwości, że przyjaźń z chłopakiem ciężko jest porównać z przyjaźnią damsko-damską. I o ile przyjaźń damsko-damska boryka się nieraz z problemami znanymi tylko dziewczynom (przywołując słowa jednej z Forumowiczek: „Z dziewczynami

trudno się przyjaźnić, bo zawsze się w czymś musisz prześcigać, konkurować, rywalizować, itp.”), to w przyjaźni z chłopakiem problem polega przede wszystkim na pogodzeniu dwóch płci i nazwaniu po imieniu tego, co je łączy. Jednocześnie jestem też jedną z tych osób, które obkładają istnienie przyjaźni damsko-męskiej pewnymi warunkami. Nie wiem, czy wiara w istnienie przyjaźni zabezpieczona tak gęsto swoimi „ale” jest wiarą prawdziwą. Przyjaciołom chodzi przecież o swoją przyjaźń, nie o swoją płć. Myślę zresztą, że tworzenie reguł dotyczących wartości takich jak przyjaźń czy miłość bywa po prostu zbędne. Zanim więc powiemy głośno, czy przyjaźń dwojga płci istnieje lub nie, dajmy upłynąć czasowi, który chyba jak nikt inny pozwala odnaleźć odpowiedzi na najbardziej niejednoznaczne nasze pytania.

En.

O tym i o tamtym, czyli dlaczego ludzie piszą.

„Dla nas, piszących, pisanie jest za każdym razem szaleńczą, ekscytującą przygodą, przeprawą malutkim czołnem przez pełne morze, samotnym szybowaniem w kosmos.”

Zasiadając przy biurku i próbując napisać artykuł do naszej szkolnej Lipy, zaczęłam zastanawiać się dlaczego ludzie w ogóle piszą - książki, pamiętniki, wiersze? Przecież najczęściej nie jest to związane z ich zawodem czy potrzebą zysku. Być może niektórzy chcą zachować swoje radości i smutki nie tylko w pamięci, ale także na papierze, aby móc do nich kiedyś powrócić, bo podobno każda chwila w naszym życiu jest wyjątkowa i każda ma inną

barwę. My na pewno piszemy także dla przyjemności.

Człowiek może wyrazić siebie na wiele sposobów, przez słowa, czyny, sztukę... Ale czy dusza ludzka potrzebuje wyrażania siebie także przez słowa napisane? Czytając książkę Paulo Coelho, w pamięci utkwiło mi pewne zdanie: „Pisanie nie polega jedynie na wyrażaniu myśli, to także głęboka zaduma nad wymową każdego słowa.” Ile uczuć możemy zawrzeć w jednym słowie? Przecież dobrze pisać to znaczy czynić myśl widzialną. Każdy czytelnik interpretuje tekst na własny sposób w zależności od jego uczuć, przeżyć i doświadczeń. „Książki są lustrem: widzisz w nich tylko

to, co już masz w sobie.” Nie ukrywajmy, że wiersz pełen metafor zrozumie najlepiej sam autor. Lecz czy piszący wiersze tworzą, bo chcą aby ktoś inny je przeczytał i docenił ich talent, czy dlatego, że mają taką potrzebę, a czytelnicy są tylko wątkiem bocznym? Trudno stwierdzić. Myślę jednak, że osoby piszące pamiętnik robią to tylko dla siebie.

Jak się jednak okazuje i kwestia pamiętnika nie jest łatwa do rozstrzygnięcia. Zastanawia mnie podejście młodzieży do uwieczniania swoich myśli. Większość uważa to za rzecz, którą powinno się ukrywać, nie mówić o tym, bo pisanie dziennika jest śmieszne i



dziecinne, kojarzy się zazwyczaj z nastolatkami, które ubolewają nad swoim (błędnie interpretowanym przez nie) losem. Lecz czy to jest prawdziwą istotą pamiętnika? I tu po raz kolejny przekonujemy się o błędności stereotypów, które często odgrywają dużą rolę w naszym życiu, pojmowaniu świata i innych ludzi. Pisanie pamiętnika jest pewnego rodzaju pasją, uzależnieniem. Jeśli naprawdę ktoś czuje się w tym dobrze, sprawia mu to przyjemność, po pewnym czasie odczuwa on potrzebę pisania i nie może przestać. Jest to elementem jego codzienności.

Ludzie piszą, bo to im pomaga. Gdy mają gorszy dzień, mogą przelać na kartkę swoje słowa,

wyżalić się samemu sobie. Uważam, że wyrażenie siebie w słowach dla siebie jest łatwiejsze niż mówienie o swoich uczuciach innej osobie. Mimo to nie powinniśmy jednak rezygnować z rozmów o tym, co czujemy. Pamiętnik jest także cudowną pamiątką. Piszący czytając swoje dawne zapiski mogą cofnąć się w przeszłość, nieraz pośmiać z samych siebie i swoich dawnych problemów, które z perspektywy czasu wydają się coraz to bardziej błahe. Właśnie wtedy dostrzegają jak się zmieniali, dojrzewali. Bywa, że ludzie piszą pamiętniki by zastanowić się nad swoim życiem i samym sobą, poukładać wszystko, co sprawiło, że w ich życiu pojawił się bałagan. Mogą przyjrzeć się sobie, pomyśleć. Myślę, że dusze romantyczne potrzebują tego szczególnie. Pisanie może sprawiać także satysfakcję. Ubieranie w słowa zwykłych myśli i uczuć jest nie tylko sztuką, ale pozwala ludziom się spełnić, udowodnić samemu sobie, że wrażliwość, którą kiedyś posiadli, jest w nich

nadal i zawsze będzie. Wielu spośród piszących pamiętniki marzy o tym, aby ktoś kiedyś je przeczytał i przeżył całe ich zwyczajne życie – tak jak oni to ukazali na kartkach. Piszący nie raz zakreślają piórem słowa aby wywołać w umyśle czytelnika odpowiednie uczucia. A to też nie jest łatwą sztuką.

Rozpisując się na temat bliżej nieokreślony, powstał artykuł, który zakończył się owymi wnioskami. Ci którzy piszą, powinni utwierdzić się w przekonaniu, że to, co robią, jest wartościowe; a może ktoś sięgnie po pióro i zeszyt, żeby zacząć tworzyć swoją historię? Pamiętniki i dzienniki mają w sobie głębszy sens. Dodam również, że nawet zwykłe opisywanie swojego dnia i wszystkich czynności, które wykonywaliśmy, przypominanie sobie szczegółowo wszystkich zdarzeń, sprawia, że ćwiczymy swój umysł, stajemy się błyskotliwsi, mamy szybsze rozumowanie i kojarzenie.

Klaudia Kozik

|| NIE TOLEROWAĆ NIETOLERANCJI. 1

Bardzo często mam wrażenie, że nie myślimy i nie potrafimy mówić o tym, co jest naprawdę ważne. Nawet jeśli pomyślimy o tym, to jednak dość szybko zapominamy. Mam na myśli tolerancję, głównie rasową, ale także religijną czy kulturową. I nie chodzi mi tylko o Polskę, ale również o kraje, które na pozór są bardzo tolerancyjne.

Czy wiecie, kto w Polsce rozpoczął tradycję tolerancji królewskiej? Ostatni Piast - Kazimierz Wielki, po przyłączeniu Grodów Czerwieńskich. Zresztą za prowadzenie polityki tolerancji został obrzucony kłutwą papieską. Z



kolei za Zygmunta II Augusta Polska była istnym rajem dla innowierców. Konfederacja Warszawska i jej postanowienia były prawdziwym ewenementem - w katolickim kraju gwarantowano pokój między wyznaniem oraz pełne równouprawnienie, niezależnie od wyznawanej religii. Niemcy w tym samym czasie prowadziły wojny religijne, we Francji dokonywano masowych mordów na hugenotach, a Anglia niewiele wcześniej za sprawą Henryka VIII Tudora całkowicie odeszła od papieża. W Rzeczypospolitej prawo gwarantowało całkowitą wolność wyznania. Trzeba jednak powiedzieć wprost,

że Polska jako azyl dla heretyków mogła istnieć tylko i wyłącznie wbrew Kościołowi. Jest to może trochę smutne, ale niestety prawdziwe.

Kościół rozdaje karty.

Tyle historii. Przyjrzyjmy się tolerancji dzisiaj. Odnoszę wrażenie, że społeczeństwo uważa za pełnoprawnych obywateli tylko katolików. Wyznawcy innych religii są spychani na bok. A ateści postrzegani są całkowicie jako ludzie skrajnie źli i sprzyjający rozpowszechnianiu się zła. Co z tego wynika? A no to, że powstaje ogromna różnica między ilością ludzi ochrzczonych a praktykujących. Jest to cały ciąg przyczynowo – skutkowy. Wiele par zapewne nie brałoby ślubu kościelnego, a tylko cywilny. Ale jeśli para nie ma ślubu to jej dziecko nie może zostać ochrzczone. Jeśli dziecko nie ma chrztu, to nie pójdzie do komunii i koledzy będą je wyśmiewać. Jeśli nie pójdzie do komunii, to nie zostanie dopuszczone do bierzmowania. No dobrze, może trochę przejaskrawiłem. Są przypadki, gdy dziecko ze związku bez ślubu kościelnego zostaje ochrzczone pod warunkiem, że zostanie wychowane w wierze katolickiej. Jednakże to zależy od księdza i zdarza się naprawdę bardzo rzadko. A żeby było śmieszniej, przytoczę fragment dokumentu przyjętego na 69. Synodzie Archidiecezji Poznańskiej: „Brak zawarcia przez rodziców sakramentu małżeństwa nie jest wystarczającym powodem odmowy udzielenia chrztu świętego dziecku”. I gdzie w tym wszystkim sens?

Zostawmy tolerancję religijną. Spójrzmy na sprawę tolerancji rasowej. Czy osoba o innym kolorze skóry może czuć się w Polsce równym obywatelem? Wydaje mi się, że jest w tej kwestii dużo lepiej niż było dawniej.

Społeczeństwo chyba trochę dojrzało do tego, by w pełni szanować ludzi o odmiennym kolorze skóry. Mimo to jednak zdarzają się ciągle pewne incydenty wymierzone w takie osoby. Wystarczy spojrzeć na stadiony piłkarskie, gdzie czarnoskórzy piłkarze są obrzucani wyzwiskami i bananami lub zwykłe ulice miast, gdzie pewne grupki dopuszczają się brutalnych ataków na ludzi innej rasy. Zresztą, czy możemy się dziwić takiej sytuacji kiedy członek jednej z największych partii politycznych, dziś opozycyjnej a jeszcze niedawno rządzącej, mówi o nowej prezydenturze w USA jak o „końcu cywilizacji białego człowieka”? Chyba jeszcze kilkanaście/kilkadziesiąt lat musi upłynąć, by widok czarnoskórego człowieka w Polsce nie budził złych emocji.

Miałem sen. Mam marzenie.

Przenieśmy się teraz do kraju, który wydaje się spełnieniem marzeń wielu osób. Kraju, który jest swoistym azylem, mimo tego, że ciężko dostać tam wizę. Kraju, w którym pomimo tego, że jest on mieszkanką kultur i narodowości, ciągle występują prześladowania i działają organizacje takie jak chociażby Ku Klux Klan. Kraju, który bardzo niechętnie, dopiero pod naciskami opinii publicznej, oficjalnie potępił apartheid. Człowiek czarny od początku uważany był za gorszego, nadającego się tylko do niewolniczej pracy. Co prawda uchwalona w 1865 roku XIII poprawka do konstytucji znosiła całkowicie niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych, ale nie rozwiązała problemu segregacji rasowej. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu człowiek czarnoskóry musiał ustąpić miejsca w autobusie białemu, inaczej groziło mu aresztowanie. Bardzo głośna zresztą była sprawa Rosy Parks, która została

aresztowana w Montgomery właśnie za nieustąpienie miejsca w autobusie. Jej sprawa dotarła do Sądu Najwyższego USA, który uznał segregację rasową za niezgodną z konstytucją. Przykrym przykładem są też stacje benzynowe, które odmawiały Afroamerykanom dostępu do toalet. Czołowy działacz na rzecz zniesienia segregacji rasowej, baptystyczny pastor Martin Luther King jr., przewodniczący Regional Council of Negro Leadership, zainicjował wiele strajków i bojkotów, które miały pomóc w walce o równouprawnienie. Przykładem może być bojkot wspomnianych wcześniej stacji benzynowych lub masowy, trwający 382 dni bojkot transportu publicznego w Montgomery.

King zorganizował wiele protestów, marszów i demonstracji, wszystko w walce o prawa czarnoskórych. 28 sierpnia 1963 roku doszło do przemarszu w Waszyngtonie, na którym to King wygłosił najśłynniejsze ze swoich przemówień, znane jako „Mam marzenie”. Wypowiedział pewną przepełnioną nadzieją kwestię: „Mam takie marzenie, że pewnego dnia czworo moich małych dzieci będzie żyło w społeczeństwie, które nie będzie ich osądzało wedle koloru skóry, lecz wedle ich charakterów.” W 1964 roku King został uhonorowany pokojową nagrodą Nobla za działanie na rzecz praw obywatelskich i równouprawnienia bez względu na kolor skóry. W roku 1966 podjął jeszcze próbę likwidacji slumsów w Chicago, jednak nie powiodło się to. Za piękne dzieło swojego całego życia King zapłacił ogromną cenę. Dwa lata później, 4 kwietnia 1968 zginął od strzału w Memphis. Dzieło Martina kontynuowała jego żona - Coretta Scott King. O wielkości Kinga i jego znaczeniu dla społeczeństwa może świadczyć fakt, że jego

śmierć wywołała zamieszki w aż 125 miastach. Analizując ostatnie wydarzenia w Stanach Zjednoczonych, myślę, że marzenie Martina L. Kinga powoli zaczyna się spełniać. Może jestem zbyt nim optymistą, bo nie ukrywam, bardzo popieram równouprawnienie. Myślę jednak, że wybór czarnoskórego człowieka na prezydenta Stanów jest symbolem – symbolem gotowości białej części Stanów na poszanowanie czarnoskórych. Na pewno minie jeszcze sporo lat zanim słowa „czarny” i „biały” zostaną na zawsze zastąpione przez jedno słowo „człowiek”. Jednakże chyba należy patrzeć z optymizmem na zmiany, które zaczynają zachodzić nie tylko w umysłach jednostek, ale także w działaniu ogółu.

Wierzę w to, że pewnego dnia wszyscy – a szczególnie instytucja kościelna – zrozumiemy, że wszyscy jesteśmy takimi samymi ludźmi z takimi samymi prawami, niezależnie od tego jak nazywamy swojego Boga.

¹Słowa są nawiązaniem do słów Karla Poppera „W imię tolerancji powinniśmy zastrzec sobie prawo nie tolerować tolerancji.”

Linus

Tolerancja jest dziś bardzo popularna – nie tylko jako slogan polityczny, ale także część lansowanego stylu życia. Dyskutując na temat wartości na łamach Lipy, pragnę Was zaprosić do dyskusji – czy tolerancja jest prawdziwą wartością? Jak rozumiecie

ten problem? Czy spotykacie się w życiu z brakiem tolerancji? Myślę, że samo słowo „tolerancja”, które w publicznym dyskursie zastępuje „szacunek”, jest słowem wytrychem, którego używa się wygodnie w wielu sytuacjach, a nie rozumie jego istoty. Tekst Linusa pokazuje tylko jeden z możliwych punktów widzenia. Warto zastanowić się czy to brak tolerancji dla innych wyznają czy zwykły konformizm decydują o wyborze katolicyzmu. Czy problem rasizmu nie dotyczy także „białych”? I czy faktycznie w Polsce ludzie o odmiennych poglądach i kolorze skóry chcieliby być tylko tolerowani? Zapraszamy do debaty.

Redakcja

Sto lat samotności

Czytanie książek jest niestety główną udręką uczniowskiego życia. Młodzież zasypywana jest niekończącą się listą obowiązkowych lektur, które wydają się tak nudne jak długie. Tym, którzy znajdą trochę czasu wolnego od zajęć i obowiązków szkolnych i nie chcą go zmarnować przed telewizorem lub komputerem, polecam coś specjalnego. Powieść Gabriela Gracii Marqueza, zdobywcy Literackiej Nagrody Nobla w 1982 roku – Sto lat samotności, która wywarła na mnie ogromne wrażenie.

Książka opowiada o stuletniej historii rodu Buendich, od założenia osady Mocondo, aż po czasy, gdy w wyniku urbanizacji miasteczko stało się okazałą metropolią. W powieści akcja toczy się szybko, niektórych pocieszy brak długich opisów przyrody czy uczuć bohaterów. Ukazane są natomiast losy dzieci, wnuków i prawnuków założycieli rodu –

Jose Arcadio i Urszuli. Autor przedstawia obraz ich życia, w którym każdy zmagają się z samotnością. W ich świecie nie ma prawdziwej, duchowej miłości. Kochankowie zaspokajają jedynie swoje fizyczne potrzeby, siostry niszczą się nawzajem walcząc o mężczyznę, a pułkownik Aureliano Buendia wprowadza dyktaturę i zaburza panujący w Mocondo spokój. Każdy członek rodu zamyka swoją duszę we własnej samotni, nie oddaje się wyższym uczuciom, dźwiga własny krzyż i samotnie dąży do spełnienia własnych celów. Dopiero ostatni, narodzony z prawdziwej miłości członek rodziny, może położyć kres kłótwie samotności.

W powieści zaintrygowały mnie również przeplatające się wątki realistyczne i fantastyczne. Autor wplata w fabułę elementy niewiarygodne, zaczerpnięte z baśni i legend. Przykładów jest wiele – stary Cygan uprawiający magię,



plaga bezsenności, która nawiedzała osadę, przygarnięta dziewczynka żywiąca się ziemią i korą drzew, dziecko ze świńskim ogonkiem, poczęte w kazirodczym związku i wiele innych.

Szczególnie polecam właśnie tę książkę, gdyż jest bardzo ciekawa i sprawia, że nie można się od niej oderwać. Zamiast czytania plotek w gazetach zachęcam do poznania historii paru pokoleń niezwykłego rodu i przeżycia wraz z nimi kilku niezapomnianych chwil.

Kala

Więzień potrafi ! Czyli spektakl teatru „Pod celą”

Zbrodnia została popełniona 28 listopada o godzinie 18.00 w Areszcie Śledczym w Lublinie, dokładnie na sali widzeń. Oskarżeni należą do pięcioosobowej grupy teatralnej więźniów „Pod celą”, której przewodniczy niekarany dotąd aktor Teatru im. Juliusza Osterwy, niejaki Przemysław G. Gąsiorowski. Zarzuca się im rozbawienie i zaciekanie zebranego tłumu widzów. Za współodpowiedzialnych artystycznej zbrodni uznaje się zespół „Di Kuizine”, hipnotyzujący klezmerskimi dźwiękami. Niestety nie są dokładnie znane dane twórcy planu działania (czyt. scenariusz), wiadomo tylko, że jest to więzień aresztu

śledczego.

Operacji nadano kryptonim „Siedem twarzy”, ponieważ tematem przewodnim przedstawienia była próba sprawdzenia się młodego Żyda w różnych rolach: męża, lekarza, mecenasa, właściciela kawiarni, pośrednika handlowego oraz aktora. Jednakże nie udaje się mu spełnić w żadnej z nich. Spektakl składa się z rozmaitych scenek charakterystycznych dla środowiska żydowskiego, pełen jest niebanalnych dowcipów i satyry na polski rząd. Grę aktorów-amatorów należy ocenić bardzo wysoko. Scenografia oraz kostiumy, które wykonywali osadzeni w areszcie, były bardzo dobrze

dopasowane do klimatu przedstawienia. Warto także podkreślić niesamowitą oprawę muzyczną spektaklu.

Może nie było to widowisko na miarę Teatru Narodowego, ale należy docenić starania i umiejętności więźniów. Jak się okazuje mają oni pasję, starają się rozwijać swoje zainteresowania, a także zarażać innych miłością do kultury wysokiej. Pozwala to spojrzeć inaczej na osobę skazaną i przypomina, że więźniowie są przede wszystkim ludźmi. A w dzisiejszym, nastawionym na konsumpcję świecie, najłatwiej zapomnieć o drugim człowieku.

Prison Break

Co kryją podziemia Starówki? – Teatr Stary

Teatr Stary u zbiegu ulic Jezuickiej i Dominikańskiej to najstarszy tego typu obiekt w Polsce. Chociaż dziś jest w ruinie, wciąż kryje wiele tajemnic... Zapraszamy Was do niesamowitej podróży mającej początek w XIX w.

Historia

Początkowo pierwszy teatr w Lublinie nazywał się Teatrem Zimowym (do 1886 roku). Jego budowę ukończono w 1822 roku, a premierowe przedstawienie odbyło się 20 października. Jednakże w 1905 miejsce sceny zajął ekran i budynek zamienił się w kino. Ostatni seans filmowy odbył się w 1981 r., a po kilku pożarach kino zostało zamknięte. W 1994 r. Fundacja Galeria na Prowincji odkupiła teatr za 99,99 zł ;), obiecując wyremontowanie go w ciągu dwóch lat, jednak nie dotrzymała słowa, a budynek obracał się w ruinę. W styczniu 2005 r. fundacja została oskarżona o spowodowanie możliwości zawalenia się budynku i zaniechanie prac remontowych. Zagrożony zawaleniem zabytek ponownie stał się własnością skarbu państwa. Rok temu

renowacją teatru zajęło się miasto Lublin.

Jakie tajemnice kryje w sobie Teatr?

We wnętrzu teatru widać prace archeologów i robotników, bowiem budynek stanął na fundamentach kamienicy z XVI i XVII wieku. Jednak badacze znaleźli relikty zabudowań, które mogą pochodzić nawet z XIV wieku! Sześć metrów pod podłogą teatru odkryto sznurową drabinę, która ma 500 lat.

Legenda głosi, że pod teatrem znajdowały się katakumby klasztoru Szarytek. W rodzinie Makowskich, właścicieli teatru, zachowała się opowieść o klątwie rzuconej na tego, kto rozkopie podziemia. Jerzy Makowski, syn ostatniego właściciela Teatru Starego jest przekonany o istnieniu klasztornych katakumb: - „Kto je naruszy, tego zabije klątwa” - przepowiada. - Dlatego Rodakiewicz zamknął podziemia. Ojciec powtarzał nam, że kto je rozkopie, naruszając architekturę budynku, obudzi



potężne moce.”

Na razie remont przebiega pomyślnie i mamy nadzieję, że złowieszcze przepowiednie nigdy się nie ziszczą. A może dzięki archeologom odkryjemy inne tajemnice starego Lublina? Oburzający jest fakt, że tak wartościowy dla historii miasta zabytek czekał na renowację do 2007 roku. Trzymamy kciuki by nie został Teatrem w Remoncie jak słynny już Teatr w Budowie.

KiSs

Redakcja

Opiekun: mgr Elżbieta Pawlak

Redaktor naczelna: Aneta Chmielewska

Redakcja: Michał Chodkowski, Kinga Gruszecka, Klaudia Kozik, Luiza Nowak, Łukasz Romańczuk, Aleksandra Różycka, Katarzyna Stachyra, Sebastian Ślęczek, Katarzyna Tracz, Kamil Zieliński, Karolina Żelechowska.

■ Maturzysto, czytaj!

Część pierwsza

Słowniczek przysłego studenta

Są takie osobistości na uczelni, które znać należy, a nawet trzeba. Nie możesz ich pomylić, chyba, że chcesz się świadomie narazić.

Rektor Cappel di tutti cappi – czyli szef wszystkich szefów. Rektora zawsze tytułujemy „Panie Rektorze”, lub w oficjalnych wydarzeniach i pismach „Jego Magnificencjo” bez względu na tytuł naukowy. Jest to osoba, która przeskakuje najwyższe budynki za jednym zamachem. Jest silniejszy od lokomotywy. Jest szybszy od pocisku. Chodzi po wodzie i jest bogiem uczelni.

Prorektor jest pomocnikiem rektora. Najważniejszym z Twojego punktu widzenia jest prorektor ds. kształcenia. To on ostatecznie rozpatruje różnego rodzaju podania i odwołania. Jeżeli wszystko zawiedzie to on jest Twoją ostatnią deską ratunku. Zwyczajowo zwraca się do niego „Panie Rektorze”. Przeskakuje niskie budynki za jednym zamachem. Jest silniejszy od lokomotywy parowej. Czasem dogania pocisk. Chodzi po wodzie, gdy morze jest spokojne.

Dziekan jest szefem Twojego wydziału. Od jego decyzji zależy prawie wszystko na wydziale – od koloru ścian do przyszłości Twoich studiów. Dziekana zawsze tytułujemy „Panie Dziekanie”. Ścisły

współpracownik boga uczelni – jakby to powiedzieć – apostoł. Najczęściej jest bardzo miły, ale to on Cię nawraca, gdy jesteś niepokornym studentem. Metody bywają bolesne.

Prodziekan Możesz czuć się wyróżniony – masz swojego prodziekana... od spraw studenckich oczywiście. To jego podpis musi się znaleźć pod każdym Twoim podaniem: o stypendium, akademik, przedłużenie sesji, warunek. Jest Twoim panem i władcą. Zwyczajowo zwraca się do niego „Panie Dziekanie”.

Profesor Najwyższy stopień naukowy jaki można osiągnąć w pracy na uczelni. Jeżeli chcesz popełnić samobójstwo, nazwij go doktorem. On wie najlepiej i jeżeli mówi, że czarne jest białe, to jest białe i tak ma być. Profesor, jest to stopień naukowy, a nie „sor” z liceum. Dla wyjaśnienia: „sor” z liceum to stopień naukowy magistra. Na uczelni nie ma „sorów”. Do profesorów należy się zwracać tylko i wyłącznie „Panie Profesorze”.

Dr hab. Czyli doktor habilitowany. Jeszcze nie jest to profesor, ale już nie doktor. I tutaj zaczyna się problem. Bardzo często zdarza się, że jeżeli do doktora habilitowanego powie się „Panie Doktorze”, to on się może obrazić. Bezpieczne i poprawne jest tytułowanie „panie Profesorze” – habilitacja to ostatni stopień naukowy – profesura to tytuł nadany. Polecam to szczególniej uwadze.

Dr czyli doktor, ale nie lekarz.

Najczęściej młody, ambitny, jeszcze wierzy, że Cię czegoś nauczy. Mężczyzna jest obiektem westchnień żeńskiej części roku, kobiety z tym tytułem są często ambitne i skrupulatne.

Mgr czyli magister. To stopień naukowy Waszych nauczycieli z podstawówki, gimnazjum czy liceum. Uwaga! Świeżo upieczeni są złaknieni brzmienia swojego tytułu, więc używajcie go dla własnego dobra, zwracając się „Panie Magistrze”. Jest to człowiek, który już zapomniał, jak to jest być studentem, ale dobrze pamięta jak potraficie korzystać z „pomocy naukowych”.

Pani z dziekanatu Nigdy, przenigdy nie podpadnijcie Paniom z dziekanatu. Jeśli jesteście mili, jest ona w stanie uchylić Wam nieba. Martwi się o was niczym rodzona matka. Ale gdy z nią zadrzecie – lepiej przenieście się na inną uczelnię. Jeśli rektor przeskakuje budynki, to Pani z dziekanatu je podnosi i przechodzi pod nimi. Zwała lokomotywę z torów. Łapie pocisk zębami i go rozgryza. Zamraża wodę jednym spojrzeniem.

Źródło: Informator dla studentów I roku 2007/2008 Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Kludia Kozik

"stoję"

patrzę w niebo

na gwiazdy

nie ma

podnoszę zmęczone powieki

by śmiech twych oczu

rozgrzał moją duszę

płatki śniegu

spadają w blasku księżyca

i topnieją na moich ustach

pytam się w myślach

gdzie jest niebo

z którego zstąpiłaś

do mojego szarego świata

romek

"* * *"

w tarczy zegara

obserwuję swoją twarz

w każdej sekundzie

słyszę krzyk myśli nieżywych

dla teraźniejszości wmawiam

sobie że mogą niewypowiedziane

z czasem pielęgnowane

wzrosną uczuciem

w duszy niosąc

radość twemu sercu

wiem

jeśli nie cofnę

więcej nie zaboli

nie zrani

pustym słowem

romek